

Mentalna agentura

24 kwietnia 2024

Po ostatnich wyborach do Sejmu zadzwonił do mnie mieszkający w Polsce korespondent jednego z rosyjskich mediów z pytaniem, czy – w mojej ocenie – po zmianie rządu nastąpi jakakolwiek zmiana w stosunkach polsko-rosyjskich? Pamiętam, że odpowiedziałem mu, że zmiany politycznej żadnej nie będzie i jedyne, czego się spodziewam, to bardziej stonowanego i mniej wariackiego języka, mniej radykalnych antyrosyjskich haseł, etc. Ale co do istoty rzeczy nic się nie zmieni.

Dziś, po kilku miesiącach, okazało się, że nie doszło nawet do zmiany języka. Nie mający doświadczenia politycznego dziennikarz-marszałek Szymon Hołownia w swojej mowie o „wdeptywaniu Putina” przebił samego Antoniego Macierewicza, co wydawało się prawie niewyobrażalne. Po kilku miesiącach rządów Tuska okazało się, że dla polskiej polityki wschodniej nie ma najmniejszego znaczenia, kto będzie rządził, ponieważ to nie jest polityka samodzielna. Jest to wyłącznie refleks polityki Stanów Zjednoczonych. Za rządów Mateusza Morawieckiego polską polityką kierowała pamiętna Georgette’a Mosbacher, w razie czego wspomagana telefonem z Departamentu Stanu. Za obecnej koalicji Amerykanie kierują polską polityką bezpośrednio, z pomocą ambasadora Marka Brzezińskiego, prywatnie skoligaconego – jak się niedawno okazało – z żoną Szymona Hołowni, któremu minister Bodnar osobiście składa sprawozdania z wprowadzania w Polsce „praworządności”.

W rezerwie pozostaje zawsze Radosław Sikorski, popularnie i złośliwie określany w mediach społecznościowych jako „Pan Applebaum”, którego syn jest amerykańskim zawodowym żołnierzem. Mamy jeszcze Donalda Tuska. Jakkolwiek w mediach pisowskich jest on przedstawiany jako niemalże agent niemiecki, to sprawa jest bardziej skomplikowana. Tusk orientuje się na niemiecką CDU, ta zaś – w odróżnieniu od Olafa Scholza i SPD – jest partią proamerykańską. Tusk zajmuje

w sprawach międzynarodowych pozycje takie jak działaczka CDU Ursula von der Leyen, w której otoczeniu i biografii powiązania atlantyckie są bardzo wyraziste.

Nasza polityka wschodnia pozostaje ta sama, bez względu na to, kto sprawuje władzę. Nawet segmenty sceny politycznej samo postrzegające się jako opozycyjne, mentalnie tkwią w tych samych koleinach i w takt amerykańskiej muzyki powtarzają, że „to jest nasza wojna”. To samo twierdzi Sławomir Sierakowski i Przemysław Wipler. Poza Grzegorzem Braunem i (czasami) Januszem Korwin-Mikke żaden z polityków nie ośmiela się nawet pytać o sens i racjonalność dla Polski „euroatlantyckiego credo”. Samo postawienie takiego pytania uchodzi w Polsce za „onucowatość”. Tak jak gdyby pytanie o racjonalność polityki państwa było jednoznaczne ze zdradą. Z zadającym takie pytania nikt nie siada przy jednym stole, nikt nie rozmawia w mediach. Jest bojkotowany, jak gdyby był obłożony ekskomuniką.

Sytuacja ta wymaga zastanowienia się i poszukania genezy zjawiska. Niestety, w pewnych kwestiach możemy postawić więcej znaków zapytania niż dać odpowiedzi. Korzenie polskiej zależności od Stanów Zjednoczonych zaczynają się wraz z ruchem Solidarności w latach 1980-1981. Nie jest tajemnicą, że Solidarność była sponsorowana przez CIA czy to bezpośrednio, czy za pomocą funduszy wypłacanych za pośrednictwem, jak to się dziś mówi, instytucji „trzeciego sektora”. Rewolucja solidarnościowa lat 1980-1981 była wzorcem dla współczesnych tzw. kolorowych rewolucji, w których organizowaniu wyspecjalizowała się Victoria Nuland z Departamentu Stanu – żona wpływowego neokonserwatysty Roberta Kagana.

Jeśli ktoś wierzy, że amerykańskie służby finansowały tzw. opozycję demokratyczną z powodów altruistycznych, kierując się wyłącznie ideowym antykomunizmem, to jest skrajnie naiwny. Każdy, kto finansuje opozycję w innym kraju, robi to z myślą, że kiedy obejmie ona władzę, to dotychczasowy sponsor osiągnie z tego powodu wymierne korzyści polityczne i ekonomiczne. Finansowanie opozycji nie jest aktem altruizmu, lecz

inwestycją, która powinna się w przyszłości zwrócić. Z tej racji, że archiwa amerykańskich służb są zamknięte – a jeśli coś one ujawniają, to jedynie dokumenty dla nich obojętne – możemy tylko pewne rzeczy domniemywać. Zapewne powstały w okresie Solidarności liczne osobiste zależności działaczy ówczesnej opozycji od CIA. Możemy tylko domniemywać, że część z tych osób mogła pójść na regularną współpracę wywiadowczą. Kontakty te zaprocentowały dla amerykańskiego kapitału w czasach prywatyzacji po tzw. upadku komuny, gdy w bardzo niejasnych okolicznościach państwowe przedsiębiorstwa były wykupywane przez międzynarodowe korporacje za kilka-kilkanaście procent ich wartości. Podobnie domniemywam, że kontakty te nadal procentują przy decyzjach politycznych podejmowanych przez polskich polityków. Część z działaczy tzw. opozycji demokratycznej nadal jest politycznie aktywna, a inni mogli wprowadzić w sieć kontaktów wybranych przedstawicieli młodszego pokolenia, a przynajmniej nie zrobić nic, aby zapobiec dalszej infiltracji polskiej klasy politycznej przez amerykańskie służby. Nie znamy także dobrze powiązań polskich służb z amerykańskimi, ale te związki wydają się dość oczywiste.

Całości obrazu dopełnia polski kompleks niższości i zauroczenia wszystkim tym, co amerykańskie. Razem zdaje się to tworzyć pewną strukturę agenturalno-psychologiczną powodującą, że polska klasa polityczna ani nie chce, ani nie umie, ani (być może) nawet nie może kierować się samodzielnym oglądem polityki światowej, całkowicie zdając się na ambasadę amerykańską i telefony z Departamentu Stanu. I nie jest to związane z naszym członkostwem w NATO. Francja jest od lat w NATO i prowadzi zupełnie niezależną od Waszyngtonu politykę. Podobnie jest z małymi Węgrami, a od niedawna ze Słowacją. Mnie osobiście dużo daje do myślenia fakt, że na Węgrzech i Słowacji prawie nie było przed 1989 roku znaczącej „demokratycznej opozycji” finansowej przez CIA. Czy ta zbieżność tego braku wtedy i samodzielności politycznej dzisiaj nie jest frapująca?

Autorstwo: Adam Wielomski

Źródło: NCzas.info